

Pierwsza dama
Starego Teatru.
Słynie z wielkiego
talentu i trudnego
charakteru.

Dla kolegów i studentów
jest autorytetem
i postrachem. W teatrze liczą
się z nią najwięksi reżyserzy.
40-lecie pracy na scenie
uczciła rolą Organowej
w *Damach i huzarach*.
Z Anną Polony rozmawia
KATARZYNA T. NOWAK.

Kto się boi Anny Polony?

Twój STYL: Kiedyś jako debiutująca dziennikarka „Gazety Krakowskiej” zadzwoniłam do Pani. Zadałam pytanie i usłyszałam: „Czy pani naprawdę nie ma nic lepszego do roboty, tylko zawracać ludziom głowę głupotami?!” Przyznam, że się przestraszyłam. Wielu ludzi boi się Pani...

Anna Polony: Wcale się nie dziwię! Mam charakter trudny i gwałtowny, łatwo wybucham, krzyczę, potrafię nawet uderzyć. I nie panuję nad tym. Nigdy nie wiem, co i kiedy mnie rozwścieczy. Najgorsze, że jak wybuchnę, nie mogę się zatrzymać. Gdy mnie coś rozżłości, to mnie tak zatyka, że błędę i milczę albo zaczynam krzyczeć. Zawsze taka

byłam. „Prawdziwie węgierski temperament”, jak mawiała moja mama. Tacy sami byli mój ojciec i brat. Temperament odziedziczyliśmy po dziadku, rodowitym Węgrze. Ci, którzy mnie znają, wiedzą, że niekiedy tylko gram tę złość. Ale wielu ludzi o tym nie wie. Kiedyś w takim zagranym oburzeniu chwyciłam koleżankę za kłapy żakietu i potrząsnęłam. Ona, śmiertelnie poważna, powiedziała, że jeśli jeszcze raz to zrobię, to mnie zabije. A to był żart! Owszem, jestem szczerza do przesady, zawsze mówię to, co myślę. Nie kłamię dyplomatycznie, bo nie umiem. A ludzie nie lubią słuchać prawdy. Jednak niektórzy potrafią to docenić.

TS: Zdarzyło się Pani przesadzić?

AP: Och tak. Nie mogłam na przykład poradzić sobie z rolą Horodniczyny w *Rewizorze* u Jerzego Jarockiego. On chciał, żeby to była postać zimna i drapieżna. A ja grałam emocjonalnie. Jarocki ciągle zwracał mi uwagę, co mnie złościło. W pewnym momencie powiedział: „Tak to można grać u Moliera!” Myślałam, że chodzi o mnie. Zdjęłam but i pogroziłam mu. Po próbie zesłam ze sceny i oznajmiłam, że więcej nie przyjdę. Byłam wtedy tak rozbawiona, że nie umiałam dostrzec granicy. Potem się okazało, że ta uwaga dotyczyła nie mnie, tylko kolegi. A ja już oddałam rolę. Do premiery zostały

trzy tygodnie. Zrobiła się potworna afery. Koledzy nie chcieli zastępstwa, bo to oznaczało dodatkową ilość prób i nerwów. W końcu przyszedł Jurek Trela: „Prosimy cię, wróć”. Tak ładnie to powiedział, że zlałam się i wróciłam.

TS: Uchodzi Pani za osobę niezwykle wymagającą, zarówno wobec kolegów na scenie, przyjaciół, jak i studentów w krakowskiej PWST, gdzie jest Pani prorektorem. Nie ma Pani czasem wrażenia, że wymaga zbyt wiele?

AP: Co znaczy zbyt wiele? Wymagania mają jakiś pułap? Im są wyższe, tym chyba lepiej! To prawda, nie lubię, gdy mi się sprzeciwiają, ale tylko dlatego, że w większości przypadków mam rację. Jestem apodyktyczna.

TS: Podobno rzucała Pani w studentów szklankami.

AP: Początkowo byłam okropnym pedagogiem. Bez przerwy się wydzieriałam i niecierpliwiłam. Wściekało mnie, że nie rozumiem, co do nich mówię. Latami uczyłam się współżycia z ludźmi i obracania w żart swojej złości. Z upływem czasu wzrasta mi poczucie humoru. Dziś potrafię powiedzieć „przepraszam”. A kiedyś chorobliwie upierałam się przy swojej racji. Potrafiłam się tak zirytować, że krew uderzała mi do głowy, a przed oczami latały czerwone plamy. Byłam okropną złością.

TS: Nic dziwnego, że w *Poskromieniu złościny* w reżyserii Zygmunta Hübnera musiała Pani zagrać tytułową Kasję.

AP: Potem sama dwa razy wyreżyserowałam *Poskromienie złościny*. Czułam, że to sztuka dla mnie.

TS: Ale studenci zgodnie mówią, że jest Pani świetnym pedagogiem. Czego ich Pani uczy poza techniką i sztuką aktorską?

AP: Namawiam ich, by grali z sercem. Z potrzeby ducha. Przed laty uczyłam ich uczciwości i lojalności wobec zawodu. Mówiłam: „Kiedy uczysz się roli, kiedy coś tworzysz, nie ma nic ważniejszego!” A dziś? Staram się im powiedzieć, że nie pieniądze są najważniejsze na świecie, i tyle. Naprawdę ważne jest poczucie własnej godności, poczucie, że coś w życiu robi się pożytecznego. Próbuję ich także nauczyć miłości do przeszłości. Bo to jest dzisiaj niemodne. Czy mi wierzą? Nie wiem. Jedni tak, inni nie. Interesuje ich głównie teraźniejszość. Jeden z moich uczniów mówi: „Gdy gram rolę, nie obchodzi mnie, kim był wcześniej mój bohater”. A ja myślę: „To dobry aktor, ale

powierzchniowy”. Konrad Swinarski nauczył mnie sięgać głęboko.

TS: Reżyser Konrad Swinarski, objawienie teatru lat 60. i 70., przystojny, charyzmatyczny, miał na aktorów magnetyczny wpływ. Czy on także bał się Pani? A może Pani jego?

AP: Początkowo, kiedy był dystans między nami, czułam przed nim respekt. Ale ten dystans szybko się skurczył i zaczęłam sobie pozwalać. Sprzeciwiałam mu się, wtrącałam. Dochodziło do spięć, jak przy interpretacji roli Orcia. Nie odpowiadało mi to, co proponował, widziałam to inaczej. W końcu znalazłam drogę pośrednią, którą zaakceptował. I poczułam się tak pewna, że stałam się obcesowa w swoich propozycjach. A kiedy zaprzyjaźniliśmy się, moja samowola wręcz się rozpętała. Konrad nie tylko tolerował moje wybuchy gniewu, one go bawiły, podniecały... Sam mnie prowokował. Ja wybuchałam, a on się śmiał. I ten jego przekorny śmiech sprawiał, że się uspokajałam. Konrad mnie zepsuł, bo pozwalał mi ingerować w swoją sztukę, a nawet w grę kolegów na scenie.

TS: Pamięta Pani dzień, w którym go poznała?

AP: Miałam 25 lat. Dostałam rolę Zuzanny w *Tragedii pana Ardena* w jego reżyserii. To była mała rola. Strasznie mnie to zezłościło. Ówczesny dyrektor Starego Teatru Zygmunt Hübner obiecał, że będę grała duże, znaczące role. A tu epizod, na dodatek służącej. Mówię: „Nie będę tego grać!” Hübner był człowiekiem opanowanym. Ktoś inny wyrzuciłby mnie za drzwi. A on wyjaśnił, że ta rola to nie epizod, bo Zuzanna ma do zaśpiewania piękną balladę, do której słowa napisała Agnieszka Osiecka. Wciąż najeżona weszłam na próbę i zobaczyłam Swinarskiego. Pomyślałam: „Jaki uroczy, przystojny...” Wytłumaczył mi, że po każdej scenie będę wychodziła i śpiewała kilka zwrotek. Początkowo w ogóle nie wiedziałam, o co mu chodzi. Próbowaliśmy balladę: on, gitarzysta i ja. Wtedy zaczęłam rozszyfrowywać ten jego dziwny język. I coraz bardziej zbliżaliśmy się do siebie. Zaczął mnie fascynować. Zakochałam się w tej balladzie, w tej roli i... odniosłam sukces. A naprawdę mocną pozycję w Starym Teatrze zdobyłam rolą Orcia w *Nie-Boskiej komedii*. Bo do interpretacji Swinarskiego dodałam własną i wyszło coś niezwykle oryginalnego. ▷

Tygrysica z dobrym sercem

Jak się pracuje z Anną Polony, zapytaliśmy jej kolegów, aktorów i reżyserów.



Kazimierz Kutz:

Ma opinię tygrysicy, ale całkowicie ją ujarzmiłem i mam z nią idealne relacje, choć nieustannie się droczymy. To prawda, że ludzie się jej boją, bo na wszystko reaguje sportanicznie i ma wrodzoną skłonność do mówienia prawdy, czego sobie nigdy nie odmawia. Jest samozapalna i to jest w niej zabawne.



Anna Radwan:

Jasne, że się jej bałam! Studiowałam w Łódzkiej Szkole Filmowej i po pierwszym roku przeniosłam się do Krakowa. Zadzwoiłam do pani Ani, która tym niskim morderczym głosem zapytała: „Czy pani jest szczupłą, wysoką, długowłosą blondynką?” Odpowiedziałam, że jestem niska, pulchna i krótkowłosa, bo tak wtedy wyglądałam. „To nie mamy o czym rozmawiać!”, usłyszałam. Rektor PWST Jerzy Trela doradził, że bym zadzwoniła, „jak pani Ania się uspokoi”. I trafiłam do jej grupy. Ależ mi dała w kość! Na czwartym roku Tadeusz Bradecki zaproponował mi rolę w *Fantazym*. Polony grała moją matkę. Pokazała wielką klasę: nie dała odczuć, że coś robię źle.



Jerzy Stuhra:

Niby się jej boję, a jednak szukam z nią kontaktu i jest mi bardzo bliska. Bo ona jakoś mnie organizuje, sprawia, że nie rozmiękczam się w licznych nagrodach i sukcesach.



Jerzy Trela:

Kiedyś bałam się jej okropnie! Potem zacząłem się zastanawiać: „Jak można się bać dobrego człowieka?” Ania nie jest złością! Lubi ją być. Na początku lat 70. pracowałem jako asystent przy sztuce Więź Strindberga. W pewnym momencie usłyszałem krzyk: „Co to za chusteczka? Ja takiej nie chcę! Gdzie jest asystent?” Poszedłem znaleźć inną. Ania rozpakowała. „Co to? To są męskie chusteczki!” – wrzasnęła. A jednak wciąż lubię z nią grać, bo jest aktorką kontaktową. W *Wyzwoleniu* u Swinarskiego zagrała moją żonę i... już nią została.

Kto się boi Anny Polony?

◀ Grałam przewrażliwione, chore, ślepe dziecko z niedowładem kręgosłupa i odniosłam coś więcej niż sukces. Więc coś innego mi pozostało, jak tylko zakochać się w takim reżyserze? To była miłość duchowa, wielka fascynacja.

TS: Aktorzy patrzyli w niego jak w obraz. Każdy marzył, by u niego zagrać.

AP: Tak się z nim zaprzyjaźniłam, że potrafiłam odczytywać jego myśli. Wystarczyło, iż spojrzeliśmy na siebie, by wiedzieć, co drugie myśli.

TS: I w pewien słoneczny sierpniowy dzień, gdy Swinarski osiągnął apogeum swojego artysty, samolot z nim na pokładzie spadł na ziemię.

AP: Graliśmy wtedy *Wyzwolenie*. Konrad wyjechał, ja prowadziłam za niego próbę wznowieniową. Po wieczornym przedstawieniu wróciłam do domu i poczułam się bardzo słabo. Myślałam, że zemdleję. Z tym okropnym samopoczuciem położyłam się do łóżka. Obudziłam się o szóstej rano, co mi się nie zdarzało. Wstałam i zaczęłam czytać „Przekrój”. Trafiłam na opowiadanie o piegowatej dziewczynie, która miała dziurę w sercu. I tak dziwnie się poczułam, że utożsamiałam się z tą dziewczyną, bo sama mam piegi. Ale dziura w sercu? Poszłam do teatru i z koleżanką mierzyłyśmy kostiumy do *Hamleta*, w październiku miała być premiera. Wyglupiałyśmy się, plotkowały... Przymierzyłam suknię królowej Gertrudy z ostatniego aktu. To była czarna suknia z czerwonymi, krwawymi akcentami. Nagle telefon. Kierowniczka pracowni krawieckiej odbiera i patrzy na mnie. „Co się stało?” – pytam. „Pan Konrad... – szepce ona – zginął w wypadku samolotowym”. Nie uwierzyłam. Przecież on był nieśmiertelny! Był piękny letni dzień, świeciło słońce. A ja nie mogłam zrozumieć, dlaczego niebo jest tak niebieskie, liście tak zielone, a ludzie tacy uśmiechnięci. Miałam pretensje do świata, jak w ogóle śmie się cieszyć. Bo wszystko powinno być czarne w takim dniu.

TS: Od upadku samolotu pod Damaszkim wkrótce minie 27 lat. I od lat przydziela się twórcom laur jego imienia, ale samo nazwisko coś mówi już tylko wybranym.

AP: Nie mam pretensji do świata, że zapomina o Swinarskim. Sztuka teatru jest ulotna. Ale chciałabym, by nie zapomnieli o nim ci, którzy tak się nim zachwycali, i ci, którzy uważają siebie za ludzi teatru. Chciałabym, by ta pamięć była kultywowana.

TS: Pochodzi Pani z krakowskiej, mieszczańskiej rodziny, która wydała wielu prawników, geografów. A Pani od dziecka marzyła o aktorstwie?

AP: A skąd! Najpierw chciałam być nauczycielką. Wychowywałam się z Andrzejem Mrowcem, który także został aktorem. Bawiliśmy się w szkołę: on był uczniem, a ja nauczycielką. Kazałam mu siedzieć na krześle i pisać. Nie znoślił tego, bo go maltretowałam. Potem w jakimś starym rosyjskim filmie zobaczyłam *Jeziro łabędzie* i zapragnęłam być baletnicą. Ale w Krakowie nie było szkoły baletowej. Wymyśliłam więc, że zostanę pianistką. Ale nie miałam cierpliwości godzinami ćwiczyć gam. Miałam dobry głos, zdecydowałam w końcu, że zostanę śpiewaczką. Ale w liceum zetknęłam się z twórczością romantyków i oszalałam na punkcie poezji. Wygrałam konkurs recytatorski i postanowiłam, że zostanę aktorką. Znalazłam się w kółku poetyckim Jana Niwińskiego. To on nadał mi pierwsze szlify, rozbudził moją wyobraźnię, przygotował na egzamin. O dziwo, mówiłam fragmenty Orcia z *Nie-Boskiej* i zdałam.

Temperament odziedziczyła po dziadku Węgrze. Potrafi chwycić koleżankę za klapy i potrząsnąć. Jarockiemu groziła butem, Swinarski śmiał się, gdy wybuchwała gniewem.

Byłam nieduża, z chłopięcą urodą. Jeden z profesorów, Władysław Woźniak, powiedział: „Przy tak średnich warunkach będzie pani musiała się dobrze uczyć...” Na trzecim roku ten sam profesor stwierdził: „No, Polony, jest już pani prawdziwą artystką”. Myślałam, że pęknę z dumy.

TS: I zagrała Pani wszelkie możliwe kobiece role, te największe, o których śnią młode aktorki. Czy czuje się Pani gwiazdą?

AP: To określenie ma w sobie coś pretensjonalnego. Gwiazda to osoba, którą otacza atmosfera uwielbienia. Ja uwielbienia nie odczuwam. Mam zagorzałych wielbicieli, ale to wąskie grono. Może dlatego, że choć dużo grałam w telewizji, niewiele w filmie. Nie umiem grać w filmie. Owszem, wystąpiłam u Marty Mészáros czy Andrzeja Barańskiego, ale unikam kina. Mam dziwną osobowość. Muszę mieć specjalne role. Albo takie, które odpowiadają mojemu temperamentowi, albo bardzo liryczne. Moja zewnętrzność też jest dziwna. Nigdy nie byłam

piękna jak Michelle Pfeiffer. Grałam dziwne, pokręcone bohaterki. Nawet jeśli były amantkami. W wieloznacznym, barokowym teatrze Konrada Swinarskiego czułam się na swoim miejscu.

TS: A jednak bywa Pani kapryśna jak gwiazda.

AP: Po prostu marudzę i tym wzbudzam irytację. Niektórzy reżyserzy potrafią ją pohamować i wytłumaczyć, że nie mam racji. Inni się obrażają. A jeszcze inni pozwalają mi robić, co chcę.

TS: Aktorzy, nawet ci wielcy, coraz częściej pokazują się w reklamach. A gdyby jakiś producent reklamy złożył Pani intratną propozycję?

AP: Niech mi pani nie zadaje takich pytań. Skoro zrobiliśmy się tak konsumpcyjni, że coraz częściej zapominamy, iż mamy duszę, godność, a oprócz pieniędzy istnieją dobra wyższej natury, to co się dziwić, że artyści też chcą żyć na odpowiednim poziomie? Mnie nikt, na szczęście, nigdy nie proponował grania w reklamie. Miałabym problem i musiałabym stoczyć ze sobą walkę. Myślę,

że bym ją wygrała. Bo jednak mnie pewnych rzeczy nie wypada robić.

TS: Od ponad dwudziestu lat żyje Pani sama. Czy była w Pani życiu miłość do mężczyzny, która byłaby większa od miłości do teatru?

AP: Nie. Gdybym urodziła się jeszcze raz, z takim samym charakterem i tymi samymi predyspozycjami, także wybrałabym teatr zamiast życia prywatnego. Ale nikomu niczego nie będę radziła. Dla jednych kobiet najważniejsze jest życie rodzinne, dla innych praca.

TS: Od śmierci Konrada Swinarskiego poświęciła się Pani teatrowi. A może jest coś, czego nie wolno poświęcić dla pracy?

AP: Godność.

TS: Czyli?

AP: Nie wolno siebie sprzedawać.

TS: Zgadza się Pani na tytuł: „Kto się boi Anny Polony?”

AP: To dobre! Ja sama siebie się boję!

Rozmawiała KATARZYNA T. NOWAK